

GUILLAUME
MUSSO

PAPIEROWA
DZIEWCZYNA



1

Dom nad oceanem

Zdarza się, że kobieta spotyka strzęp człowieka i postanawia go uzdrowić. Czasem jej się to udaje. Zdarza się, że kobieta spotyka człowieka zdrowego i postanawia uczynić z niego wrak. To udaje jej się zawsze.

Cesare Pavese

— Tom, otwórz drzwi!

Wiatr stłumił krzyk i wołanie pozostało bez odpowiedzi.

— Tom, to ja, Milo! Wiem, że tam jesteś. Wyjdźże z tej swojej nory, do cholery!

Malibu

Hrabstwo Los Angeles, Kalifornia

Dom na plaży

Od ponad pięciu minut Milo Lombardo niecierpliwie walił w drewniane okiennice domu swego najbliższego przyjaciela.

— Tom, otwieraj, bo wyważę drzwi! Wiesz, że mogę to zrobić!

Na zasłoniętej ciemnymi okularami twarzy Mila, ubranego w dopasowaną koszulę i nienagannie skrojony garnitur, widać było zmęczenie. Z początku Milo miał nadzieję, że czas wyleczy rany Toma, tymczasem depresja przyjaciela pogłębiała się. Przez ostatnie pół roku pisarz prawie w ogóle nie wychodził z domu. Wybierając samotność w złotej klatce, nie reagował na dzwonki do drzwi i nie odbierał telefonu.

— Proszę cię jeszcze raz, wpuść mnie!

Milo pukał co wieczór do drzwi luksusowego domu Toma, ale jedynym rezultatem były inwektywy sąsiadów i nieunikniona interwencja patrolu policyjnego dbającego o spokój multimilionerów zamieszkujących tę wydzieloną część Malibu Colony.

Tym razem jednak czara się przełamała: trzeba było działać, zanim będzie za późno.

— Dobrze, sam tego chciałeś! — zagroził Milo, zdjął marynarkę i chwycił łom z tytanu, który dała mu Carole, ich wspólna przyjaciółka z dzieciństwa, obecnie pracująca jako detektyw w departamencie policji Los Angeles.

Milo obejrzał się. Piaszczysta plaża drzemała w złotych promieniach jesiennego słońca. Ściśnięte jak sardynki w puszcze luksusowe wille stały wzdłuż brzegu złączone wspólną intencją odstraszenia niepożądanych gości. Mieszkało tu wielu bogatych biznesmenów i gwiazd mediów oraz rozrywki, nie mówiąc o słynnych aktorach: Tomie Hanksie, Seanie Pennie, Leonardzie DiCaprio czy Jennifer Aniston — wszyscy oni posiadali tu dom.

Oślepiiony odbijającym się od piasku światłem, Milo przy-mrużył oczy. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów od niego, przed domkiem na palach, stał adonis w spodenkach kąpielowych. Z lornetką przy oczach ratownik wyglądał jak zahipnotyzowany sylwetkami dziewcząt surfujących na po-

tężnych falach Pacyfiku. Milo stwierdził, że nic mu z tej strony nie grozi, i zabrał się do dzieła. Wsunął zgięty koniec łomu w szparę między oknem a ramą okienną i nacisnął nań z całej siły, wyłamując drewniane deseczki okiennic. Kiedy wchodził do domu, przebiegło mu przez myśl pytanie, czy człowiek ma prawo chronić przyjaciół przed samymi sobą, ale ta wątpliwość męczyła go bardzo krótko, gdyż oprócz Carole miał na tym świecie tylko jednego przyjaciela i był zdecydowany porwać się na wszystko, aby przywrócić mu radość i ochotę do życia.

*

— Tom?

Parter domu tonął w półmroku. Wszędzie panował zaduch, a w powietrzu wisiała podejrzana woń przypominająca stęchliznę. W zlewie leżały sterty brudnych naczyń, a salon wyglądał, jakby do domu zawitali złodzieje: meble były poprzewracane, na podłodze walały się ubrania oraz potłuczone talerze i kieliszki. Milo musiał przeskoczyć przez pudło od pizzy, przez opakowania po chińskim jedzeniu i puste butelki po piwie, żeby podejść do okna i wpuścić do środka światło i świeże powietrze.

Jednopiętrowy dom został zbudowany w kształcie litery L. W piwnicy mieścił się basen. Mimo nieporządku, dzięki meblom z drewna klonowego, jasnemu parkietowi oraz wpadającemu przez wielkie okna światłu panowała tu kojąca atmosfera. Ekskluzywne wnętrze zaaranżowano w ten sposób, że nowoczesne umeblowanie mieszało się z meblami z czasów, kiedy Malibu było skromną plażą znaną tylko surferom, a nie złotą klatką dla milionerów.

Tom zwinięty w kulę na kanapie wyglądał okropnie. Był rozczochrany, twarz miał bladą i zarośniętą jak Robinson

Crusoe. W niczym nie przypominał eleganckiego mężczyzny ze zdjęć umieszczanych na okładkach swoich książek.

— Pobudka! — wykrzyknął Milo, pochodząc do kanapy.

Na niskim stoliku obok było pełno pogniecionych recept od doktor Sophii Schnabel, „psychiatry gwiazd”, która urzędowała w gabinecie w Beverly Hills i zaopatrywała miejscowych bogaczy w mniej lub bardziej nielegalne substancje psychotropowe.

— Tom, obudź się! — zawołał Milo, nachylając się nad przyjacielem.

Nieufnie przyjrzał się etykietkom na tubkach lekarstw rozrzuconych po stoliczku i na podłodze. Vicodin, valium, xanax, zoloft, stilnox. Piekielna mieszanka leków przeciwbólowych, uspokajających, antydepresyjnych i nasennych. Fatalny koktajl XXI wieku.

— O kurwa! — wykrzyknął w panice, przerażony, że przyjaciel zatrzał się mieszanką tych substancji. Schwycił go za ramiona i zaczął nim potrząsać, żeby go obudzić. Trząsł nim i trząsł, aż w końcu Tom otworzył oczy.

— Co tutaj robisz? — wymamrotał, widząc nad sobą twarz Mila.

2

Przyjaciele

*Recytowałem nieustającą litanie pocieszeń,
którymi bezskutecznie faszeruje się ofiary
złamanych serc (...). Nie ma bowiem słowa,
które pocieszyłoby faceta zrozpaczonego po
stracie ukochanej.*

Richard Brautigan

— Co ty tu robisz? — wymamrotałem.

— Bałem się o ciebie, Tom! Od miesiący siedzisz zamknięty i faszerujesz się prochami.

— To moja sprawa! — stwierdziłem, starając się podnieść.

— Nie, mój drogi. Twoje kłopoty są moimi kłopotami. Czy nie na tym polega przyjaźń?

Siedząc na kanapie, z twarzą ukrytą w dłoniach, wzruszyłem ramionami. Byłem zawstydzony i zrozpaczony.

— Nie pozwolę, żebyś staczał się na dno przez jakąś szurniętą babę!

— Nie jesteś moim ojcem — stwierdziłem, ponownie usiłując wstać. Zakręciło mi się w głowie i musiałem się oprzeć o brzeg kanapy.

— Nie jestem, ale jeśli ani ja, ani Carole ci nie pomożemy, to kto ci pomoże?

Odwrociłem się do niego plecami, nie siląc się na odpowiedź. Miałem na sobie tylko kalessony. Przeszedłem przez pokój do kuchni, żeby napić się wody. Milo poszedł za mną. Znalazł gdzieś worek na śmieci i zaczął opróżniać lodówkę.

— Wywalam cały nabiał, chyba że chcesz popełnić samobójstwo przez zatrucie przeterminowanym jogurtem — rzucił, wachając jakiś pojemnik z cuchnącym twarożkiem.

— Nie musisz tego jeść, Milo.

— A te winogrona? Podejrzewam, że Obama był już prezydentem, kiedy je kupiłeś!

Potem Milo zaczął sprzątać salon. Zebrał do worka największe śmieci, zużyte opakowania i puste butelki.

— Dlaczego się tego nie pozbyłeś? — spytał z wyrzutem, pokazując na ramkę cyfrową wyświetlającą zdjęcia Aurore.

— Ponieważ jestem u siebie, a z tego, co robię u siebie, nie muszę się nikomu tłumaczyć.

— Być może, ale ta dziewczyna złamała ci serce. Nie uważasz, że czas zrzucić ją z piedestału, na którym ją ustawileś?

— Słuchaj, Milo, ty nigdy jej nie lubiłeś...

— To prawda, w ogóle mi się nie podobała. A jeśli chcesz wiedzieć, byłem pewien, że cię w końcu zostawi.

— Ach tak? A z czego to wywnioskowałeś?

Milo wreszcie mógł wyłączyć całą truciznę, która przepełniała mu serce.

— Z tego, że Aurore jest z innej gliny niż my! Ona nami pogardza! Jest w czepku urodzona. Dla niej życie było zawsze zabawą, a dla nas walką...

— Akurat! To nie takie proste, jak ci się wydaje. Nie znasz jej.

— Przestań ją wielbić! Pomyśl, jak się wobec ciebie zachowała!

— No tak, tobie by się coś takiego nie przydarzyło. Ty spotykasz się wyłącznie z łatwymi dziewczynami i tylko dla rozrywki, więc nie wiesz, co to miłość!

Wcale nie chcieliśmy się kłócić, ale tak jakoś wyszło, że nagle zaczęliśmy na siebie krzyczeć. Każde zdanie uderzało jak policzek.

— To, co do niej czujesz, nie ma nic wspólnego z miłością! — wrzasnął Milo. — To namiętność rujnująca twoje psychiczne zdrowie, to cierpienie...

— Ja przynajmniej potrafię ryzykować, podczas gdy ty...

— Ja nie potrafię ryzykować? A kto skoczył ze spadochronem z Empire State Building? Wideo z tym skokiem okrążyło cały świat.

— No i co ci to przyniosło oprócz kary pieniężnej?

Mimo to Milo zaczął wymieniać swoje wyczyny.

— Zjechałem na nartach ze zbocza Blanche w Peru. Skoczyłem na bungee ze szczytu Everestu, jestem jednym z niewielu ludzi, którzy zdobyli K2...

— Udać kamikadze to ty umiesz, przyznaję. Ale ja mówię o innym ryzyku, mówię o zakochaniu się. Tego ryzyka nigdy nie podjąłeś, nawet z...

— Zamknij się! — Milo nagle podniósł głos, chwytając mnie za T-shirt i uniemożliwiając skończenie zdania.

Stał tak nade mną kilka chwil, patrząc groźnie, aż wreszcie napięcie minęło i uświadomił sobie, że prawie wałnął mnie pięścią w twarz.

— Przepraszam... — powiedział, zwalniając uścisk.

Wzruszyłem ramionami i wyszedłem na wielki taras z widokiem na ocean. Z domu wychodziło się bezpośrednio na plażę prywatnymi dyskretnymi schodami. Na stopniach stały

gliniane donice z umierającymi roślinami, których od mi-
sięcy nie podlewałem.

Na stole z jawajskiego teku leżały zapomniane stare
ray-bany, od razu je założyłem, bo światło raziło mnie
w oczy. Opadłem na leżankę.

Milo po chwili dołączył do mnie, przynosząc z kuchni
dwie filiżanki kawy. Wręczył mi jedną z nich.

— Dość tej dziecinady. Pogadajmy poważnie! — zapro-
ponował, przysiadając na stole.

Patrzyłem na ocean i milczałem. W tej chwili pragnąłem
jednego: żeby jak najprędzej wyjaśnił mi, po co przyszedł,
i znikł. Było mi niedobrze, chciałem zwymiotować i z po-
wrotem otumanić się prochami.

— Tom, powiedz mi, jak długo się znamy? Dwadzieścia
pięć lat?

— Mniej więcej — odparłem, wypijając łyk kawy.

— Odkąd się poznaliśmy, zawsze ty byłeś głosem roz-
sądku. Dzięki tobie nie zrobiłem wielu głupstw. Gdyby nie
ty, dawno już siedziałbym w pudle albo nawet nie żył. Bez
ciebie Carole nigdy nie zostałaaby policjantką. Ty pomogłeś
mi wykupić dom mojej matki. Krótko mówiąc, tobie za-
wdzięczam wszystko.

Zażenowany machnąłem ręką.

— Jeśli przyszedłeś tu wygadywać głupstwa w tym stylu...

— To nie są żadne głupstwa, Tom! Oparliśmy się wszyst-
kiemu: narkotykom, gangom, trudnemu dzieciństwu...

Ten argument przemówił do mnie i zadrżałem. Mimo
że wspiałem się na sam szczyt, gdzieś w środku wciąż
drzemał we mnie piętnastolatek, który nigdy nie opuścił
dzielnicy MacArthur Park, nie rozstał się z dilerami nar-
kotyków ani z miejscowymi chuliganami, wciąż łaził po
pełnych krzyków klatkach schodowych... I wciąż się bał.

Odwróciłem głowę i znów popatrzyłem na ocean. Przejrzysta woda mieniła się tysiącem odcieni błękitu, od turkusu po ciemny granat. Nieliczne fale poruszały rytmicznie taflę oceanu. Z wody emanował spokój, kontrastując ze zgiełkiem niespokojnych wspomnień z naszego dzieciństwa.

— Jesteśmy czyści — ciągnął Milo. — Zarobiliśmy całą tę forszę uczciwie. Nie musimy nosić przy sobie broni. Nie splamiliśmy naszych rąk krwią ani naszych pieniędzy kokainą.

— Nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego z...

— Tom, mamy wszystko, żeby żyć szczęśliwie! Dopisuje nam zdrowie, wciąż jesteśmy młodzi, mamy pasjonującą pracę! Nie możesz zniszczyć tego dla tej baby! To byłoby zbyt głupie. Ona na to nie zasługuje. Odłóż cierpienie na później, kiedy naprawdę nieszczęście zapuka do naszych drzwi, nigdy nie wiadomo, co jeszcze się przydarzy...

— Aurore jest kobietą mego życia! Nie możesz tego zrozumieć?! Uszanuj mój ból!

Milo westchnął.

— Gdyby to była kobieta twojego życia, to dzisiaj byłaby tutaj z tobą i nie pozwoliłaby ci się stoczyć!

Wypił łyk kawy.

— Zrobiłeś wszystko, żeby do ciebie wróciła — stwierdził. — Błagałeś, starałeś się wzbudzić w niej zazdrość, a na ostatek jeszcze publicznie się poniżyłeś. To już koniec, ona nie wróci. Zapomniała o tobie i radzę ci również zapomnieć o niej.

— Nie umiem — wyznałem.

Milo zastanowił się i po chwili na jego twarzy pojawił się dziwny niepokój.

— Tak naprawdę myślę, że nie masz wyjścia.

— Jak to?

- Idź, weź prysznic i ubierz się.
- Po co?
- Zabieram cię do Spago, na dobry befsztyk.
- Nie jestem głodny.
- Nie zabieram cię tam po to, żebyś zaspokajał głód.
- A po co?
- Żebyś mógł się posilić, zanim ci powiem coś, co zwali cię z nóg.

3

Człowiek cierpiący

*Nie, Jef, nie jesteś sam,
Ale przestań się mazać
Tak przed wszystkimi,
Że jakiś babsztyl,
Jakaś farbowana blondyna
Zostawiła cię (...)
Wiem, że ci ciężko na sercu, Jef,
Ale weź się w garść*

Jacques Brel

— Dlaczego przed moim domem stoi czołg? — spytałem, wskazując na wielki sportowy samochód, którego monstrualne koła wgniatały się w chodnik Colony Road.

— To nie żaden czołg — odrzekł Milo. — To bugatti veyron, model Czarna Krew, jeden z najmocniejszych pojazdów świata.

Malibu

Słoneczne popołudnie

Wiatr szeleści liśćmi drzew

— Znów nowy wóz? Kolekcjonujesz je czy co?

— To nie jest samochód, stary! To dzieło sztuki.

— Dla mnie to jest zwykły wóz na podryw. Zresztą, czy naprawdę jakaś dziewczyna da się na to złapać? — Wykrzywiłem lekko wargi w powątpiewającym uśmiechu.

— Więc myślisz, że ja potrzebuję samochodu, żeby kogoś poderwać?

Nigdy nie rozumiałem pasji, jaką wzbudzały u moich kumpli kabriolety, wyścigówki czy inne bolidy z opuszczanymi dachami.

— No, chodź, obejrzyj bestię z bliska! — zaproponował Milo. Oczy mu błyszczały.

Żeby nie zrobić mu przykrości, udałem, że oglądam wóz z zainteresowaniem. Bugatti, o eliptycznej spiętej formie, podobne było do kokonu ozdobionego błyszczącymi w słońcu i odcinającymi się od czarnej jak smoła karoserii dodatkami: chromowaną atrapą, metalowymi lusterkami, błyszczącymi felgami, przez które prześwitywały jaskrawoniebieskie dyski hamulców.

— Chcesz rzucić okiem na silnik?

— Nie, naprawdę dzięki... — westchnąłem.

— Czy wiesz, że takich samochodów jak ten jest tylko piętnaście na całym świecie?

— Nie do wiary.

— W ciągu dwóch sekund dochodzi do setki, a może jechać czterysta kilometrów na godzinę!

— Niezwykle praktyczne przy obecnych cenach benzyny i wszędzie ustawianych radarach. Taka nieekologiczna bryka.

Tym razem wreszcie zdołałem go zmartwić.

— Och, jesteś beznadziejny! — Westchnął. — Nie umiesz cieszyć się drobiazgami.

— Któryś z nas musi być beznadziejny, żeby równowaga została zachowana. A ponieważ ty już sobie przydzieliłeś rolę wesołka, nie miałem wyjścia.

- Wsiadaj.
- Mogę prowadzić?
- Nie!
- Dlaczego?
- Nie pamiętasz, że zabrali ci prawo jazdy?

*

Wyścigowa maszyna wyłoniła się z ocienionych alejek Malibu Colony i wjechała na biegnącą wzdłuż oceanu Pacific Coast Highway. Samochód świetnie trzymał się drogi. Wnętrze było ciepłe, wyściełane spatynowaną rdzawą skórą. Z radia rozbrzmiewał stary przebój Otisa Reddinga. Poczujęm się bezpiecznie, jakbym siedział w przytulnej kabinie samolotu. Przymknąłem oczy.

Wiedziałem, że ten spokój, pozorny, nietrwały, zawdzięczałem lekarstwu na uspokojenie, które wsunąłem pod język, kiedy wyszedłem spod prysznica, ale momenty ulgi były tak rzadkie, że nauczyłem się nimi delectować.

Od kiedy Aurore mnie opuściła, miałem wrażenie, że serce niszczy mi jakiś pasożyt, który zamieszkał w nim na stałe jak szczur w spiżarni. Drapieżny smutek wyssał ze mnie wszystkie soki, wyprał z emocji, pozbawił woli. Przez pierwsze tygodnie po rozstaniu strach przed depresją powstrzymywał mnie od załamania się. Dzień po dniu walczyłem ze zgorzknieniem i apatią. Ale strach wkrótce również mnie opuścił, zabierając ze sobą moją godność. Nie chciało mi się nawet zachowywać pozorów. Robak toczył moje wnętrze, zabierając radość życia, wysysając mnie jak przejrzały owoc, gasząc każdą iskrę życia. Gdy tylko chciałem się otrząsnąć, robak zmieniał się w żmiję i kąsał, zatruwając mózg bolesnymi wspomnieniami. Nagle wracały do mnie obrazy z przeszłości, przypominałem sobie skórę Aurore, jej zapach, rzęsy, złote błyski w oczach...

Potem wspomnienia zaczęły się zacierać. Wciąż brałem leki i czułem się otumaniony, nic już nie widziałem wyraźnie. Bezwolnie dryfowałem, zawieszony w próżni dni spędzanych beczynnie na kanapie, w ciemnościach chemicznej zbroi, zapadając co jakiś czas w ciężki xanaksowy sen, w najgorszych dniach kończący się koszmarami, w których roilo się od gryzoni o długich pyskach i szorstkich ogonach; gdy wreszcie budziłem się, spocony i zeszywniały ze strachu, jedno, czego pragnąłem, to natychmiast uciec, więc brałem coraz silniejsze leki. Żyłem w tym odrętwieniu, a moje puste, pozbawione sensu dni i noce mijały jedno po drugim. Byłem tego nieświadomy. Zresztą rzeczywistość się nie zmieniła: wciąż cierpiałem, a od roku nie napisałem ani zdania. Mój mózg zastygł w bezruchu, słowa mnie opuściły, ochota do pisania również. Byłem wyprany z wyobraźni.

*

Na wysokości plaży w Santa Monica Milo zjechał na międzystanową drogę numer 10 w kierunku Sacramento.

— Znasz wynik meczów baseballowych? — spytał wesoło, wręczając mi swojego iPhone’a włączonego na stronie sportowej. — Angelsi pobili Jankesów!

Rzuciłem roztargnionym wzrokiem na ekran.

— Milo!

— Słucham?

— Nie patrz na mnie, patrz na drogę.

Wiedziałem, że mój stan go martwił; nie rozumiał mego załamania, czuł, że jest ono mniej lub bardziej związane ze słabością, którą wszyscy w sobie nosimy, a on myślał, okazało się niesłusznie, że mnie to nie dotyczy. Skręciliśmy w prawo do Westwood. Zaczynał się „złoty trójkąt” Los Angeles. Jak niektórzy zauważyli, nie było w tej dzielnicy

ani szpitala, ani cmentarza, tylko nieskalanie czyste ulice z najdroższymi butikami na świecie, w których należało się umawiać, jak w gabinecie lekarskim. Z demograficznego punktu widzenia w Beverly Hills nikt się nie rodził ani nie umierał...

— Mam nadzieję, że jesteś głodny! — rzucił Milo, skręcając raptownie w dół, w Canon Drive. Gwałtownie zahamował przed elegancką restauracją. Podał klucze parkingowemu i krokiem stałego bywalca pewnie wszedł do środka. Poszedłem za nim. Dawny chuligan z MacArthur Park odbierał jako rewanż społeczny możliwość zjedzenia lunchu w Spago bez uprzedniej rezerwacji, podczas gdy wszyscy normalni ludzie musieli zamawiać stolik trzy tygodnie wcześniej. Kierownik sali zaprowadził nas do eleganckiego patio. Była to strefa bogatych biznesmenów i sławnych ludzi. Milo usiadł, dyskretnie wskazując mi stolik kilka metrów od nas, przy którym Jack Nicholson i Michael Douglas kończyli właśnie posiłek, pijąc na deser po kieliszku mocniejszego alkoholu. Niedaleko od nich aktorka serialu popularnego w czasach naszej młodości przeżuwała liść sałaty.

Padłem na krzesło nieczuły na ten specjalny prestiż. Od dwóch już lat osiągnąłem szczyty hollywoodzkich marzeń, co pozwoliło mi poznać osobiście niektórych idoli mojej młodości. Bywałem na przyjęciach w ekskluzywnych, zamkniętych klubach czy w prywatnych willach wielkich jak pałace i mogłem do woli dyskutować z aktorami, piosenkarzami i pisarzami, bohaterami moich dziecięcych marzeń. Niestety, te spotkania okazały się wielkim rozczarowaniem. Lepiej nigdy nie poznać kulis fabryki marzeń. Tak naprawdę większość moich bohaterów z lat dorostania to byli ludzie zdeprawowani, polujący bezustannie na dziewczyny, które wyrzucali zaraz po skonsumowaniu, szukając za każdym

razem świeżej zwierzyny. Rzecz równie smutna: niektóre aktorki, na ekranie urocze i błyskotliwe, w rzeczywistości brały kokainę, chorowały na anoreksję i były ofiarami botoksu i liposukcji. Lecz czy miałem prawo sądzić ich wszystkich? Czy ja sam nie stałem się takim samym osobnikiem jak ci, którymi pogardzałem? Padłem przecież ofiarą takiego samego wyalienowania, tak samo nadużywałem lekarstw, byłem takim samym egocentrykiem i tak samo w momentach przytomności czułem do siebie niesmak.

— Częstuj się! — Milo z entuzjazmem wskazał na kanapki, które przyniesiono nam do aperitif.

Dotknąłem wargami kromeczki chleba pokrytej cienkim plastrem marmurkowego, miękkiego mięsa.

— To wołowina z Kobe — wyjaśnił Milo. — Wiesz, że w Japonii woły masuje się sake, żeby tłuszcz wniknął do mięśni?

Zmarszczyłem brwi.

— Żeby im było przyjemnie, dodaje się sake do karmy, a żeby się zrelaksowały, puszcza się im na pełen regulator muzykę klasyczną. Zupełnie możliwe, że stek, który masz właśnie w ustach, słuchał koncertu Aurore. A być może się w niej zakochał... Widzisz, nie jesteś jedyny.

Wiedziałem, że Milo robi, co może, żeby mnie rozweselić, ale humor też straciłem bezpowrotnie.

— Milo, zaczynam mieć trochę dość. Co takiego ważnego chciałeś mi powiedzieć?

Milo przełknął ostatnią kanapkę, nawet jej nie smakując, po czym wyjął z torby maleńkiego laptopa i otworzył go.

— Teraz nie mówi do ciebie przyjaciel, tylko agent literacki.

Tymi słowami zaczynał zawsze spotkania dotyczące biznesu. Nasza mała firma opierała się na moim przyjacielu.

Cały czas biegał z komórką przy uchu, żył w wielkim tempie, bez przerwy rozmawiał z wydawcami, z agentami wydawnictw zagranicznych, z dziennikarzami, wciąż szukał nowego pomysłu, aby wypromować książki swego jedyne go klienta: mnie. Nie wiem, jak skłonił wydawnictwo Doubleday do opublikowania mojej pierwszej powieści. W trudnym świecie wydawniczym nauczył się zawodu w biegu, nie zrobił żadnych specjalistycznych studiów, a stał się najlepszy, bo wierzył we mnie bardziej niż ja sam. Zawsze uważał, że wszystko mi zawdzięcza, ale ja wiedziałem, że jest odwrotnie, że to on zrobił ze mnie sławę, wprowadzając moją pierwszą powieść do magicznego kręgu bestsellerów. Po tym pierwszym sukcesie posypały się propozycje od najsłynniejszych agentów literackich, ale wszystkie odrzuciłem. Milo był więcej niż moim przyjacielem. Był najbardziej lojalnym człowiekiem, jakiego znałem.

A przynajmniej tak myślałem, zanim go wysłuchałem tamtego dnia.